

Nieoczekiwane

Jack London



calibre 0.9.27

NIEOCZEKIWANE

Jack London

Widzieć dostrzegalne i robić powszednie — to prosta sprawa. Życie indywidualne skłonne jest raczej do bezwładu niż ruchu. Skłonność tę wzmaga cywilizacja, w której zasięgu widzi się tylko dostrzegalne, a nieoczekiwane nadchodzi bardzo rzadko. Jeżeli jednak nadchodzi i jest wystarczająco ważne, niezaradne jednostki giną. Nie mogą zobaczyć niedostrzegalnego, nie mogą stawić czoła nieoczekiwanemu, nie potrafią dopasować starannie sformowanego życia do kształtów odmiennych, niecodziennych łożysk: giną u kresu własnego, utartego łożyska.

Bywają jednak ludzie powołani do wielkich przeżyć. Jednostki zaradne wymykają się prawu dostrzegalnego i powszedniego, przystosowują życie do kształtu najdziwaczniejszych nawet łożysk, w które zabłądzą lub zostaną zepchnięte siłą. Taką jednostką była Edyta Whittlesey. Urodziła się w rolniczej okolicy Anglii, gdzie życie płynie naturalnym rzeczy porządkiem, a nieoczekiwane jest tak bardzo nie oczekiwane, że uchodzi za niemoralność, jeżeli się czasami zdarzy. Edyta Whittlesey poszła na służbę wcześnie, była więc młoda, gdy naturalnym rzeczy porządkiem została pokojową wielkiej damy.

Zasadą cywilizacji jest narzucanie ludzkich praw życiu, dopóki nie zacznie ono działać regularnie i sprawnie, jak maszyna. Unicestwia się nieprzyjemne, przewiduje nieuniknione. Człowiek nie moknie na deszczu, nie marznie podczas mrozów. Nawet śmierć nie skrada się groźnie ciachając kosą zniecka, lecz jest przygotowanym zawczasu pogrzebowym orszakiem sunącym gładko do rodzinnego grobowca, gdzie troskliwie odkurza się wszystko, a zawiasy oliwi, żeby ich rdza nie pokryła.

Takie właśnie było życie Edyty Whittlesey. Nic się nie działo. Trudno nawet nazwać wydarzeniem to, że mając dwadzieścia pięć lat towarzyszyła swej pani w wycieczce do Stanów Zjednoczonych. Łóżysko zmieniło tylko kierunek, zostało jednak tym samym dobrze naoliwionym łożyskiem. Bez przygód i niespodzianek wiodło na drugą stronę Atlantyku. Nawet okręt nie był okrętem na morzu, lecz pakownym wielopiętrowym hotelem, który porusza się szybko i pewnie, niezmiernym ciężarem gniecie fale i zmuszając je do uległości odmienia ocean w do znudzenia spokojną sadzawkę. Na amerykańskim brzegu łożysko wiodło dalej lądem; było to bardzo przyzwoite łożysko wiodące do hotelu na każdym postoju, a między postojami do hoteli na kołach.

W Chicago, kiedy jej pani oglądała jedną stronę życia towarzyskiego, Edyta Whittlesey poznawała drugą. Objawiła nawet pewną zdolność do zmagania się z nieoczekiwanym i do zwycięstwa nad nim, gdyż podziękowała za służbę i została Edytą Nelson. Hans Nelson, imigrant, Szwed z pochodzenia i cieśla z zawodu, ulegał germańskiemu niepokojowi, który na szlaku wielkiej przygody wciąż popycha tę rasę ku zachodowi. Hans był muskularny, ciężki, zrównoważony, a mierną wyobraźnię łączył z niezwykłą przedsiębiorczością. Posiadał nadto uczciwość i dar kochania równe jego niepożytej energii.

— Będę pracował ciężko, a jak zbiorę trochę pieniędzy, pojedę do Colorado — rzekł Edycie następnego dnia po ślubie.

Po roku Nelsonowie byli w Colorado, gdzie Hans pierwszy raz ujrzał kopaczy złota i zaraził się ich gorączką. Poszukiwania wiodły go przez Dakotę, Idaho i wschodni Oregon, aż do gór Kolumbii Brytyjskiej. W obozie i na szlaku Edyta Nelson towarzyszyła mężowi — dzieliła jego szczęście, kłopoty i trudy. Dreptanie hodowanej w domu kobiety zamieniła na posuwisty chód górala. Nauczyła się spoglądać w oczy niebezpieczeństwu śmiało, ze zrozumieniem, i na zawsze pożegnała paniczny strach zrodzony z nieświadomości, pospolity wśród mieszczuchów. Bo mieszczuchy głupieją ze strachu jak przerażone konie i zamarli ze zgrozy oczekują losu, zamiast porwać go za bary, albo rzucają się naprzód i w samobójczym pędzie ścielą drogę własnymi trupami.

Edyta Nelson spotykała nieoczekiwane na każdym zakręcie ścieżki, a wzrok wyćwiczyła tak, że w krajobrazie widziała przede wszystkim niedostrzegalne, ukryte. Ona, co nie zajmowała się kuchnią nigdy w życiu, potrafiła upiec doskonały chleb nad otwartym ogniem na zwyczajnej patelni, i to bez użycia chmielu, drożdży czy proszku do pieczenia. A kiedy zużyła ostatni kubek mąki i ostatni kawałek boczku, stać ją było na przystosowanie się do okoliczności: z moka synów i miękko garbowanych skórzanych części ubrania i rynsztunku przyrzadziła niby to gulasz, który mimo wszystko trzymał dusze w cielesnej powłoce i dawał siły do wleczenia się naprzód. Nauczyła się objuczać zarówno konia, jak człowieka, choć było to zadanie, które złamałoby mieszkańca miasta i odarło go z resztek ambicji. Wiedziała nawet, jakie węzły najlepiej nadają się do tego lub owego rodzaju bagażów. Umiała także — nie tracąc równowagi ducha — rozpaść ogień z mokrego drewna podczas gwałtownej ulewy. Krótko mówiąc, Edyta Nelson pod każdym względem zwyciężała nieoczekiwane. Ale WIELKIE NIEOCZEKIWANE miało jeszcze zastąpić jej, drogę i wystawić Edytę na ciężką próbę.

Fala poszukiwaczy złota odpływała na północ, ku Alasce, więc nurt ten musiał porwać i rzucić w stronę Klondike Hansa Nelsona z żoną. Jesienią roku 1897 znaleźli się w Dyea, nie mieli jednak pieniędzy, aby przenieść sprzęt na drugą stronę Przełęczu Chilkoot i spławić później w dół Yukonu do Dawson. Owej zimy Hans Nelson pracował w swoim fachu, pomagał przy budowaniu wyrastających jak grzyby po deszczu domów miasta Skaguay, gdzie zaopatrywali się kopacze.

Cieśla był w ostatecznej rozpacz. Przez całą zimę słyszał nieodparty zew Alaski. Najgłośniejszą wołała Zatoką Latuya, toteż latem 1898 roku długie na siedemdziesiąt stóp czółno Siwaszów płynęło labiryntem skał nadbrzeżnych. W czółnie byli Hans Nelson i jego żona, a prócz nich (nie licząc Indian) trzech białych mężczyzn. Indianie zostawili pasażerów i bagaże nad ustronną zatoczką mniej więcej sto mil od Zatoki Latuya i wrócili do Skaguay. Trzej biali ludzie zostali, ponieważ wchodzili w skład zorganizowanej grupy, której uczestnicy pokrywali w równych częściach koszt wyprawy i mieli otrzymywać jednakowe zyski. Edyta Nelson podjęła się gospodarowania, przysługiwał jej więc udział taki sam jak mężczyznom.

Zrąbano pierwsze jodły, zbudowano trzyizbową chatę. Utrzymywanie w niej porządku stanowiło zadanie Edyty Nelson. Mężczyźni mieli szukać złota, co robili, i znaleźć złoto, co również się powiodło. Nie było to wspaniałe odkrycie, lecz dość ubogi pokład, gdzie wielogodzinna harówka przynosiła każdemu kopaczowi piętnaście do dwudziestu dolarów dziennie. Lato, krótkie na Alasce, przeciągało się niezwykle, więc Hans Nelson i jego towarzysze korzystali ze sposobności i powrót do Skaguay: odkładali z dnia na dzień. W końcu było za późno. Od dawna uzgodniono, że poszukiwacze odpłyną w towarzystwie kilkudziesięciu miejscowych Indian, którzy wybierali się w jesienną podróż handlową wybrzeżem oceanu, Siwasze czekali na białych do ostatniej chwili, wreszcie ruszyli w drogę. Spółka nie miała wyboru; musiała wyglądać przypadkowej okazji. Tymczasem trzeba było drzewa na działce i gromadzić opał.

Indiańskie lato marudziło, drzemało. Później nagle, jak na dźwięk surmy, przyszła zima.

Nadciągnęła nocą, a kiedy kopacze zbudzili się, wyła wichura, szalała zamieć śnieżna, zamarzały wody. Nawałnica ścigała nawałnicę, w przerwach zaś panowała cisza i słychać było tylko szturm morza na bezludne wybrzeże, gdzie słone bryzgi inkrustowały plażę zlodowaciałą bielą.

W chacie działało się dobrze. Zdobyty złoty piasek wart był około ośmiu tysięcy dolarów i poszukiwacze mogli się tylko cieszyć.

Porobili rakiety śnieżne, tropili zwierzynę, by zaopatrywać spiżarnię w świeże mięso, a w długie wieczory siadywali przy tasiemcowych partiach wista lub pedro. Ponieważ ustała praca na działce, Edyta Nelson przekazała mężczyznom podsycanie ognia i zmywanie naczyń, sama zaś cerowała skarpety i naprawiała odzież.

W ciasnej chacie nie znano utyskiwań, swarów, drobnych sprzeczek, więc mieszkańcy jej często gratulowali sobie wzajemnie, że żyją tak wesoło i po przyjacielsku. Hans Nelson (solidny, poważny, raczej sztywny) szczerze i od dawna podziwiał żonę za jej łatwość obcowania z ludźmi. Harkey — wysoki, chudy Amerykanin z Teksasu, człowiek przyjemny, choć małomówny, dobrze zgadzał się z towarzystwem, póki nikt nie zahaczył jego teorii, że złoto rośnie. Czwarty współnik, Michael Dennin, wnosił do zacisznej izby irlandzki humor. Był wysoki, atletycznie zbudowany, skłonny do nagłych wybuchów gniewu o byle drobiazg i niezawodnie pogodny w obliczu wielkich przykrości lub ciężkich trudów. Piąty i ostatni z kompanii, Dutchy, z własnej woli stanowił zwykły cel żartów. Sam sobie robił na przekór, byle budzić śmiech na swój rachunek i byle trwała uciecha. Zdaje się, miał jasny, świadomy cel w życiu: chciał być wesołkiem, szafarzem śmiechu.

Poważne kłótnie nie mąciły nigdy nastroju w szczupłym gronie. Panował tam umiejętnie podsycany, pełen zadowolenia duch pomyślności, gdyż każdy mógł poszczycić się wynikiem krótkiej pracy w ciągu lata: szesnastoma setkami dolarów.

Wreszcie nadeszło Nieoczekiwane.

Mieszkańcy chaty usiedli do śniadania późno, jak zwykle od czasu, gdy zima przerwała regularną pracę przy dozywaniu złota. Była już ósma, ale paliła się świeca zatknięta w szyjkę butelki. Edyta i Hans zajmowali oba końce stołu. Po jednej stronie, plecami do drzwi, siedzieli Harkey i Dutchy. Miejsce naprzeciw nich było wolne. Dennin. nie przyszedł jeszcze.

Hans Nelson zerknął na pusty stołek, wolno pokiwał głową i siląc się na dobry humor, powiedział:

— Zawsze pierwszy pcha się do żarcia. Bardzo dziwne. Może zachorował?

— Gdzie Michael? — zapytała Edyta.

— Wstał trochę wcześniej od nas i wyszedł na dwór — wyjaśnił Harkey.

Dutchy zrobił rozpromienioną minę, jak gdyby gotował figiel. Udawał, że wie coś niecoś o powodach nieobecności Dennina. Uśmiechał się tajemniczo. Inni zaczęli go głośno wypytывать. Edyta zajrzała do sypialni mężczyzn i wróciła do stołu. Hans spojrzął na żonę, lecz przecząco pokręciła głową.

— Nigdy nie spóźnia się na posiłki — orzekła.

— Nic nie rozumiem — podjął Hans. — Zawsze ma apetyt pierwsza klasa; je niczym wilk.

— Bardzo niedobrze — odezwał się Dutchy i smutno pokiwał głową.

Zebrani przy stole zaczęli żartować na temat zniknięcia towarzysza.

— Wielka szkoda! — wtrącił znów Dutchy.

— Czego szkoda? — zapytał chór.

— Biedny Michael — westchnął Dutchy grobowym tonem.

— A cóż się stało Michaelowi? — zawołał Harkey.

— On więcej wcale nie głodny — ubolewał Dutchy. — Cały apetyt precz! On nie lubi żarcia.

— Nie widać tego, by wpycha zawsze, aż mu się uszy trzęsą — powiedział Harkey.

— On nie chce być niegrzeczny dla pani Nelson — podjął szybko Dutchy. — Ja wiem, ja wiem wszystko! To bardzo niedobre. Po co on tutaj nie jest? Bo wyszedł na dwór. Po co wyszedł na dwór? Żeby dostać apetyt. Jak on to robi? Chodzi boso po śniegu. Aha! Ja wiem wszystko! Tak bogate ludzie robią apetyt, kiedy apetyt pójdzie precz. Michael ma tysiąc i sześć setek dolarów. On bogaty człowiek. On nie miał apetytu. Jak otworzyliście drzwi, widzieliście, jak chodził boso po śniegu. Ale wy nie widzieliście apetyta. To cała bida Michaela! Jak on zobaczy apetyt, on go cap! i przyjdzie na śniadanie.

Bredniom wesołka odpowiedział donośny śmiech. Ledwie przebrzmiał, drzwi otwarły się i do izby wszedł Dennin. Siedzący przy stole odwrócili głowy, spojrzeli na spóźnionego przybysza. Trzymał dubeltówkę. W oczach wszystkich podniósł ją do ramienia i dwa razy dał ognia. Po pierwszym strzale Dutchy padł na stół, wyrócił kubek z kawą i płową czupryną zarył w talerzu płatków owsianych. Czołem przygniótł bliższy brzeg, toteż pełen włosów talerz stanął na blacie stołu pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Harkey podskoczył, zerwał się z miejsca, ale trafiony drugim strzałem, upadł twarzą na podłogę. „Wielki Boże!” — zagulgotało mu w krtani i zamarło.

Tak przyszło NIEOCZEKIWANE.

Hans i Edyta zdrętwieli. Sztynno siedzieli za stołem, urzeczony wzrok utkwili w mordercy. Niewyraźnie widać go było przez obłok prochowego dymu. Wśród grobowej ciszy kawa rozlana z kubka Dutchy'ego ściekała na podłogę: kap, kap, kap... Dennin złamał dubeltówkę. Wyrzucił puste gilzy. Trzymając strzelbę w jednej ręce, drugą sięgnął do kieszeni po ładunki.

Wsuwał je właśnie do luf, gdy Edyta Nelson ocknęła się, zaczęła działać. Nie miała wątpliwości, że Dennin chce zabić ją i Hansa. Na chwilę — nie dłuższą niż trzy sekundy — poraziła, sparaliżowała kobietę potworna, niepojęta forma, w jakiej objawiło się nieoczekiwane. Później Edyta wyszła mu na spotkanie, chwyciła je za bary. Chwyciła zresztą w ścisłym słowa tego znaczeniu, gdyż kocim susem skoczyła na mordercę i obydwoma rękami uczepiła się szalika, który miał związany na szyi. Dennin, napadnięty zniecka, zachwiał się, cofnął o kilka kroków. Próbował odzyskać swobodę ruchów, nie wypuszczał broni z ręki. Stało się wszakże coś dziwnego: twarde mięśnie Edyty nabrały kociej zwinności. Kobieta uskoczyła w bok i szarpnięciem za szyję przegięła mordercę prawie do podłogi. Wyprostował się, okręcił szybko dokoła własnej osi. Edyta nie wypuszczała szalika. Trzymała mocno i uczepiona oburącz wirowała wraz z Denninem. Wreszcie nogi jej oderwały się od podłogi, a ciało zaczęło krążyć w powietrzu tworząc wir, który nagle zderzył się ze stołkiem. Mężczyzna i kobieta runęli na podłogę, lecz w upadku nie zaprzestali obłąkańczej walki i szamocząc się przemierzali połowę izby.

Hans Nelson oprzytomniał, pojawił się nieoczekiwane o pół sekundy później niż żona. Procesy nerwowe i procesy myślowe zachodziły w nim wolniej. Był większym organizmem, toteż zmarnował pół sekundy, nim dostrzegł, zrozumiał, zaczął wreszcie działać. Edyta zdążyła już skoczyć na Dennina i chwycić go za gardło, gdy Hans porwał się na nogi. Ale nie był tak chłodny i opanowany jak żona. Wpadł w furję, w szal godny Wikinga. W chwili gdy podnosił się ze stołka, otworzył usta i wydał głos pośredni między rykiem a wyciem. Błyskawiczny wir dwóch ciał krążył już po izbie, a Hans rycząc wciąż i wyjąc ścigał go i pochwycił wreszcie, kiedy Edyta i Dennin runęli na podłogę.

Hans rzucił się na powalonego mordercę i nieprzytomnie zaczął okładać go pięściami. Tłukł potężnie, jak młotem, toteż Edyta poczuła wkrótce, że Dennin nie stawia już oporu. Wypuściła z rąk szalik, odpełzła nieco dalej. Dysząc ciężko leżała na podłodze i patrzyła. Wciąż padały szaleńcze razy. Dennin nie czuł ich bodaj. Nie reagował, nie ruszał się nawet. Kobiecie przyszło na myśl, że musiał zemdleć. Zawołała, żeby Hans dał spokój. Krzyknęła po raz drugi, ale Hans nie zwracał

uwagi na jej głos. Chwyciła męża za rękę, lecz osiągnęła tylko tyle, że rozmach osłabł trochę.

Nie podszept rozsądku skłonił kobietę do tego, co zrobiła później, nie litość ani posłuszeństwo nakazowi religii: „Nie zabijaj!” Było to raczej poczucie prawa. Etyka rasy i otoczenia z dni młodości kazały jej własnym ciałem osłonić bezbronnego mordercę przed furią męża. Hans spostrzegł, że bije żonę, i wtedy dopiero przestał. Pozwolił Edycie odciągnąć się od ofiary. Podobnie rozjuszony, ale karny pies pozwala odciągnąć się swojemu panu. Podobieństwo to sięgało jeszcze dalej. Na zwierzęcy sposób złość harczała w głębi gardzieli Nelsona, który kilka razy próbował znów rzucić się na zdobycz i uczyniłby to niezawodnie, gdyby Edyta zwinnie nie zagradzała mu drogi.

Uparcie odciągała szaleńca, wlokła do tyłu. Nigdy nie widziała męża w takim stanie, więc bała się go bardziej niż Dennina w gorączce walki. Nie mogła uwierzyć, że ta rozsiała bestia jest jej Hansem. Ze zgrozą uświadomiła sobie nagle, że jak dziki zwierzę może w każdej chwili chwycić jej dłoń zębami. Hans nie chciał bić żony, lecz gorąco pragnął podjąć przerwana egzekucję. Przez kilka sekund szamotał się to w jedną, to w drugą stronę, lecz Edyta cierpliwie zagradzała mu drogę, uchylała się z nim razem, aż wreszcie rozsądek zaczął powracać i mąż dał za wygraną.

Obydwoje z trudem dźwignęli się na nogi. Hans stanął pod ścianą, oparł się plecami. Twarz mu drgała, w gardle głuche, nieprzerwane warczenie cichło z sekundy na sekundę, aż umilkło zupełnie. Przyszła pora na reakcję. Edyta stała pośrodku izby. Załamywała ręce, jęczała i wzdychała ciężko, trzęsła się jak liść na wietrze.

Nelson nie patrzył na nic, nic nie widział. Ale wzrok Edyty błędził niespokojnie po scenie niedawnych wydarzeń, od jednego szczegółu do drugiego. Dennin leżał bez ruchu niedaleko stołka obalonego szaleńczym wirtem. Częściowo pod sobą miał dubeltówkę, nie zamkniętą jeszcze po wyrzuceniu pustych gilz. Z jego prawej dłoni wysuwały się dwa ładunki. Nie zdążył ich włożyć w lufy, ale kurczowo ścisnął palcami, póki nie opuściła go przytomność. Harkey leżał twarzą do podłogi w miejscu, na którym upadł. Dutchy pochylony na blat stołu nurzał płową czuprynę w talerzu płatków owsianych, a talerz sterczał wciąż pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Ten sterczący talerz szczególnie interesował Edytę. Czemu nie spada? To pocieszne! Zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy talerz płatków owsianych nie powinien stać kantem na stole, choćby nawet zamordowano człowieka.

Edyta przeniosła wzrok na Dennina, zaraz jednak wróciła do szczególnego talerza. Był taki zabawny! Odczuła histeryczną ochotę do śmiechu. Później uprzytomniła sobie ciszę i zapomniała o talerzu. Zapragnęła, by coś się zdarzyło. Jednostajne kapanie kawy ze stołu na podłogę podkreślało tylko grobowe milczenie. Czemu Hans nic nie robi, nie mówi? Spojrzała na niego i otworzyła usta, lecz przekonała się, że język nie chce pełnić zwyczajnych funkcji. Gardło bolało ją dziwnie, usta miała suche, jak gdyby kostropate. Mogła tylko gapić się na męża, ten zaś gapił się na nią.

Nagle ciszę przerwał ostry metaliczny brzęk. Edyta krzyknęła, spojrzała w stronę stołu. Talerz spadł nareszcie. Hans westchnął, jak gdyby przebudzony ze snu. Brzęk talerza był dla Nelsonów początkiem życia w nowym świecie. Chata symbolizowała ów nowy świat, w którym od dzisiaj mieli obracać się i działać. Dawna chata zniknęła na zawsze. Widnokreśli były zupełnie nowe, obce. Nieoczekiwane jak czarnoksiężnik musnęło porządek rzeczy, odmieniło perspektywy, przetasowało wartości, zrobiło zwodniczą mieszaninę ze wszystkiego, co realne i nierealne.

— Mój Boże! Hans!

Tak brzmiały pierwsze słowa Edyty.

Nelson nie odpowiedział. Ze zgrozą popatrzył na żonę i powoli rozejrzał się po izbie, pierwszy raz zaczął badać ją dokładnie. Później włożył czapkę i ruszył w stronę drzwi. Edytę ogarnęło przerażenie.

— Dokąd idziesz?! — krzyknęła.

Rękę miał na kłance. Odwrócił *się* i powiedział:

— Wykopać groby.

— Nie zostawiaj mnie, Hans, z... — spojrzeniem omiotła izbę — ...z tym wszystkim. .

— No przecież trzeba kiedyś wykopać groby — odpowiedział.

— Nie wiesz jeszcze, ile — sprzeciwiła się rozpaczliwie, a widząc, że mąż się waha, dodała: —

A zresztą, pójdę z tobą, to ci pomogę.

Wrócił do stołu. Machinalnie objaśnił palcami świecę. Później rozpoczęły się oględziny. Harkey i Dutchy nie żyli. Wyglądali okropnie, bo morderca strzelał z bardzo bliska. Hans nie chciał podejść do Dennina, więc Edyta musiała samodzielnie przeprowadzić tę część śledztwa.

— Żyje! — zawołała.

Hans zbliżył się i z góry spojrzał na mordercę.

— Coś mówił! — zapytała Edyta, gdy w gardle męża zacharczały nieartykułowane dźwięki.

— Mówiłem, że to cholerna szkoda, że taki nie zdechł — odpowiedział Nelson.

Edyta schyliła się nad leżącym ciałem.

— Zostaw go — rozkazał Nelson surowym, nie swoim głosem. Opanowana nagłą trwogą podniosła wzrok na męża. Chwycił dubeltówkę upuszczoną przez Dennina i zaczął ją nabijać.

— Co robisz?! — krzyknęła prostując się gwałtownie.

Hans milczał. Przyłożył kolbę do ramienia. Widząc to, Edyta chwyciła lufę blisko wylotu, szarpnęła w górę.

— Zostaw mnie! — krzyknął Hans ochryple.

Chciał jej wyrwać broń, ale kobieta przysunęła się bliżej, objęła go w pól.

— Hans! Hans! — zawołał. — Zbudź się! Opamiętaj! Nie bądź szalony!

— On zabił Dutchy'ego i Harkeya — odrzekł mąż. — Muszę go zabić.

— Ależ to zbrodnia! — sprzeciwiła się gwałtownie. — Istnieje przecież prawo!

Wykrzywił się wzgardliwie, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że nie wierzy w istnienie prawa w takiej okolicy. Ale powtórzył tylko beznamiętnie, uparcie:

— On zabił Dutchy'ego i Harkeya.

Edyta długo przekonywała męża, była to jednak dysputa jednostronna, gdyż ograniczał się do wypowiedzianego raz po raz: „On zabił Dutchy'ego i Harkeya”. Kobieta nie ustępowała jednak, nie była w stanie uwolnić się od wpływów wychowania z lat dziecińczych, od krwi swojego narodu. Poczucie praworządności stanowiło jej dziedzictwo, a stosowanie prawa było dla niej jedynym słusznym postępowaniem. Innej uczciwej drogi nie mogła sobie wyobrazić. Hans — własnoręcznie wymierzający sprawiedliwość — byłby w równej niezgodzie z prawem, jak zbrodnia Dennina. „Dwa złe postęпки nie dają w sumie dobrego — rozumowała Edyta — istnieje więc tylko jeden sposób ukarania mordercy: sposób legalny, ustalony przez porządek społeczny”. Wreszcie Nelson skapitulował.

— Dobrze — burknął. — Niech stanie na twoim. Jutro czy pojutrze on zabije ciebie albo mnie. Sama zobaczysz.

Pokręciła głową i wyciągnęła rękę po dubeltówkę. Hans był gotów oddać ją żonie, lecz zawahał się w ostatniej chwili.

— Pozwól mi go zastrzelić. Tak będzie lepiej — poprosił. Znowu pokręciła głową i Hans powtórnie wyciągnął do niej rękę ze strzelbą. Wtem drzwi otworzyły się i do izby wszedł bez pukania Indianin. Wraz z nim wtargnął podmuch wiatru i zawierucha śnieżnych płatków. Nelsonowie odwrócili głowy, spojrzeli na przybysza. Hans trzymał jeszcze dubeltówkę. Nieproszony gość bez

dreszczu przyjął do wiadomości krwawą scenę. Przelotnym spojrzeniem obrzucił trupy i rannego. Na twarzy jego nie odmalowało się zdziwienie ani ciekawość. Harkey leżał u jego nóg, ale Indianin nie zwracał nań uwagi. Dla niego zwłoki Harkeya nie istniały.

— Straszna wiatr — odezwał się na powitanie. — Wszystko dobrze, co? Bardzo dobrze?

Hans ścisnął w rękę strzelbę. Był pewien, że Indianin jemu przypisuje zmasakrowane ciała. Błagalnie spojrzał na żonę.

— Jak się masz, Negook — powiedziała z wysiłkiem. — Nie, nie bardzo dobrze. Straszne nieszczęście.

— Do widzenia. Już idę. Bardzo pilno — odrzekł Negook. Ostrożnie, bez pośpiechu przestąpił czerwoną kałużę na podłodze, otworzył drzwi i wyszedł.

Mężczyzna i kobieta spojrzeli na siebie.

— Myśli, że to nasza robota — wykrztusił Hans — że moja... Edyta milczała chwilę. Następnie powiedziała zwięźle, rzeczowym tonem:

— Mniejsza, co Negook myśli. To okaże się później. Teraz mamy dwa groby do wykopania. Ale przede wszystkim trzeba związać Dennina, żeby nie mógł uciec.

Hans nie chciał dotknąć mordercy, więc Edyta skrępowwała mu mocno ręce i nogi. Później wyszli w zameć śnieżną. Zlodowaciała ziemia nie ustępowała pod uderzeniem kilofa. Nelsonowie przynieśli drewno i na oczyszczonej ze śniegu twardej skorupie rozniecili ognisko. Płonęło godzinę i rozmiękczyło kilka cali zmarzniętej powłoki. Teraz należało wybrać łopatomi tę warstwę i na nowo rozpalić ogień. Grób pogłębiał się z szybkością dwóch lub trzech cali na godzinę.

Praca była ciężka i żmudna. Tumany śniegu nie pozwalały ognisku palić się jak należy. Wiatr przenikał odzież, mroził skostniałe ciała. Nelsonowie odzywali się rzadko. Zawierucha przeszkadzała rozmowie.

Najprzód próbowali odgadnąć motywy zbrodni Dennina. Później milczeli przejęci grozą. O pierwszej Hans spojrzał w stronę chaty i oznajmił, że jest głodny.

— Nie, Hans — odpowiedziała żona. — Nie teraz. Trudno wymagać, żebym sama poszła do chaty... do tej chaty... i gotowała obiad.

Koło drugiej Hans zgodził się towarzyszyć żonie, lecz zatrzymała go przy pracy. O czwartej oba doły zostały skończone. Były płytkie, nie głębsze niż na dwie stopy, nadawały się jednak do zamierzonego celu. Tymczasem zapadła noc. Hans wyciągnął sanki i dwa trupy powędrowały przez ciemności i zadymkę do zlodowaciałego grobowca. Pogrzeb nie przypominał w niczym uroczystego konduktu. Sanki głęboko tonęły w zaspach, opierały się mocno. Nelsonowie nie jedli nie od poprzedniego dnia, toteż osłabli z głodu i nerwowego wyczerpania. Nie mieli sił, by walczyć z wichurą, i od czasu do czasu padali obaleni nagłym podmuchem. Sanki wywracały się kilkakrotnie, trzeba więc było ładować na nie od nowa upiorny bagaż. Ostatnie sto stóp do grobów wiodło pod górę, stromym zboczem. Hans i Edyta przebyli tę drogę na czworakach, niby psy pociągowe. Z rąk uczynili przednie nogi, dłonie nurzali w śniegu. Mimo to dwa razy ciężar ściągał ich w tył po stoku wzgórką. Żywi i umarli, postronki zaprzęgu i sanki — wszystko to sunęło na dół w straszliwym nieładzie.

— Jutro ustawię w głowach mogił deski z ich nazwiskami — powiedział Hans po zasypaniu dołów.

Edyta szlochała. Nabożeństwo żałobne ograniczyła do kilku urywanych zdań. Na nic więcej nie mogła się zdobyć. Osłabła i mąż prawie ją odniósł do chaty.

Dennin odzyskał przytomność. Od dawna przewracał się z boku na bok i daremnie próbował rzucić pęta. Na Hansa i Edytę spoglądał pałającym wzrokiem, nie zaczynał jednak rozmowy. Nelson

nadał wzbraniał się dotknąć mordercy. Patrzył posepnie, jak żona wlecze go do sypialni mężczyzn, gdzie — mimo licznych wysiłków — nie mogła dźwignąć ci — iczaru z podłogi na pryczę.

— Pozwól mi go zastrzelić. Tak będzie lepiej. Od razu skończą się kłopoty — wystąpił Hans z ostatnią prośbą.

Edyta pokręciła głową i schyliła się, by wznowić próby. Ze zdziwieniem poczuła, że bezwładne ciało dało się unieść zupełnie łatwo, odgadła więc, że Hans zmiękł i pospieszył jej z pomocą. Później przysła kolej na sprzątanie kuchni. Podłoga opowiadała jednak uparcie o tragedii i przestała wtedy dopiero, gdy Hans zheblował poplamione deski, a strużynami napalił w piecu.

Dnie przechodziły i mijały. Wiele było ciemności i ciszy przerywanej tylko nawałnicami i grzmiotem zamarzającego morza, którą szturmowało wybrzeże. Hans słuchał najłżejszego skinienia Edyty. Utracił swą wspaniałą przedsiębiorczość. Żona chciała policzyć się z Denninem na swój sposób, w jej więc rękach zostawił całą sprawę.

Morderca był nieustanną groźbą. W każdej chwili mógł uwolnić się te więzów, toteż Nelsonowie pilnowali go dniem i nocą. Zawsze jedno lub drugie siedziało przy nim z nabitą strzelbą w pogotowiu. Zrazu Edyta ustanowiła ośmiogodzinne warty, ale tak długie i nieprzerwane napięcie było zbyt nużące. Później zmieniała się z mężem co cztery godziny. Nelsonowie musieli jednak spać, a że posterunku nie mogli opuszczać w nocy, prawie cały wolny czas poświęcali czuwaniu nad Denninem. Resztę pochłaniało przyrządzanie posiłków i zbieranie drewna na opał.

Po wizycie złożonej nie w porę przez Negooka Indianie omijali chatę. Edyta wysłała do nich Hansa z propozycją, żeby czólnem wzdłuż wybrzeża morskiego odwieźli Dennina do najbliższej osady białych lub bodaj faktorii. Misja ta spełzła na niczym. Z kolei pani Nelson wybrała się sama i odbyła rozmowę z Negookiem. Był on naczelnikiem małej wioski i w pełni oceniał wagę tego stanowiska; swoją politykę wyłożył jasno i w niewielu słowach.

— To zmartwienie białych — powiedział — nie zmartwienie Siwaszów. Moi ludzie wam pomogą, zmartwienie będzie także zmartwieniem Siwaszów. Jak zmartwienie białych będzie razem ze zmartwieniem Siwaszów, zrobi się jedno zmartwienie, bardzo wielkie zmartwienie, takie, że wcale nie będzie mu końca. Zmartwienie niedobre. Moi ludzie nie zrobili nic złego. Po co mają wam pomagać i mieć zmartwienie?

Edyta wróciła z kwitkiem do straszliwej chaty i nie kończących się czterogodzinnych wart. Często podczas swojej zmiany, gdy z nabitą dubeltówką siedziała nad więźniem, przymykała oczy i zaczynała drzemać. Za każdym razem budziła się przerażona. Chwytała strzelbę i szybko zerkała na Dennina. Były to odruchy nerwowe, które wywierały zgubny wpływ na organizm. Bała się tego człowieka. Nawet na jawie nie mogła stłumić przerażenia i raptownie sięgała po broń, ilekroć poruszył się pod kocami. Była bliska rozstroju nerwowego i zdawała sobie z tego sprawę.

Najprzód gałki oczne zaczynały drgać tak, że musiała zamykać oczy, by to powstrzymać. Z kolei przyszło nerwowe mruganie, bezwiedne, niemożliwe do opanowania. Kobieta była wyczerpana fizycznie i nerwowo, ponadto zaś nie mogła zapomnieć tragedii. Wciąż odczuwała groźbę nie mniejszą niż w ów pierwszy ranek, kiedy nieoczekiwane wkroczyło do chaty i wzięło ją w posiadanie. Pełniąc codzienne posługi przy więźniu zaciskała zęby, żelazną ręką trzymała na wodzy ciało i ducha.

Hans reagował odmiennie. Bez reszty uległ myśli, że obowiązkiem jego jest uśmiercenie Dennina, ilekroć więc zajmował się spętanym jeńcem lub czuwał przy nim, Edytę dręczyła obawa, że mąż wpisze nową szkarłatną pozycję w kronice chaty. Często przeklinał mordercę, obchodził się z nim brutalnie. Próbował jednak maskować zbrodniczą manię i od czasu do czasu mówił żonie:

— Przyjdzie pora, że sama będziesz chciała, żebym go zabił, a ja tego nie zrobię. Sprzykrzy mi się cała historia.

Nieraz podczas zmiany Hansa Edyta wchodziła cichaczem do sypialni. Strażnik i więzień złowieszczo wpatrywali się w siebie, niby dwie dzikie bestie. Na twarzy Nelsona wypisana była żądza mordu. Dennin miał obłąkaną, zaciętą minę szczura zapędzonego w pułapkę.

— Hans! — wołała wtedy kobieta. — Ocknij się, Hans!

Wracał do przytomności, opamiętywał się wystraszony, pełen wstydu, ale bynajmniej nie skruszony.

Hans stał się zatem drugim czynnikiem problemu, który nieoczekiwane dało Edycie do rozwiązania. Z początku chodziło jedynie o słuszne postąpienie z Denninem, a słuszne wydawało się jej tylko trzymanie go pod strażą do chwili, gdy będzie mógł stanąć przed właściwym trybunałem. Później powstała kwestia Hansa. Edyta zrozumiała, że w grę wchodzi władze umysłowe i zbawienie duszy męża. Niebawem odkryła więcej. Problem obejmował również jej własne siły i odporność. Uginała się pod brzemieniem. Jej lewe ramię odmawiało posłuszeństwa, zaczynało drgać. Nie potrafiła donieść do ust pełnej łyżki, nie mogła ufać zagrożonej ręce. Doszła do wniosku, że to objawy tańca świętego Wita. Dręczyła się pytaniem, jak daleko sięgną skutki choroby. Co będzie, jeżeli ona załamie się zupełnie? Nową grozą była wizja prawdopodobnej przyszłości, gdy w chacie pozostanie tylko Dennin z Hansem.

Czwartego dnia morderca odzyskał mowę.

— Co myślicie ze mną zrobić? — brzmiało jego pierwsze pytanie, które powtarzał później codziennie i wiele razy na dzień.

Edyta odpowiadała zawsze, że na pewno ona i jej mąż potraktują go zgodnie z prawem. Następnie zadawała swoje nieodmienne pytanie:

— Cemu to zrobiłeś?

Dennin nie odpowiadał. Wybuchał gniewem, kłął, rzucał się, szarpał krępujące go rzemienie z surowej skóry. Groził Edycie albo mówił, jak zapłaci Nelsonom, kiedy się wyzwoli, co musi nastąpić wcześniej lub później. W takich przypadkach kobieta odводziła kurki dubeltówki, gotowa posłać mu na spotkanie śmiertelny ołów, jeśli Dennin odzyska swobodę ruchów. Ale serce biło jej mocno, drżała trwożliwie, odchodziła od zmysłów z napięcia i przerażenia.

Z biegiem czasu morderca złagodniał nieco. Znużyła go ta sama, wciąż leżąca pozycja — tak przynajmniej rozumowała Edyta. Zaczął prosić i błagać, by go rozwiązać. Sypał szalonymi obietnicami. Nie uczyni Nelsonom krzywdy. Sam powędruje wzdłuż wybrzeża morskiego i dobrowolnie odda się w ręce sprawiedliwości. Odstąpi Nelsonom swoją część złota. Przepadnie w sercu dziewiczej puszczy i nigdy, przenigdy nie wróci do cywilizacji. Odbierze sobie życie zaraz po wyzwoleniu z pęt. Błagania kończyły się zwykle majaczeniem. (Edyta była zdania, że morderca traci chwilami przytomność, nieodmienne jednak kręciła głową i milcząco odmawiała Denninowi wolności, do której tęsknił tak, że często wpadał w dziką furję.

Mijały tygodnie. Więzień łagodniał coraz bardziej. Znużenie dochodziło do głosu, tłumilo wszystko inne.

— Taki jestem zmęczony, taki zmęczony — pomrukiwał często i jak rozkapryszone dziecko kręcił głową na poduszce.

Prosił pokornie o śmierć. Błagał o nią Edytę. Zaklinał Hansa, by położył kres jego mękom. Chciał nareszcie odpocząć. Odpocząć!

Niebawem wytworzyły się warunki nie do zniesienia. Edyta była coraz bardziej nerwowa. Zdawała sobie sprawę, że załamanie grozi lada chwila. Nie mogła nawet odpocząć należycie, gdyż dręczył ją strach, że Hans ulegnie swojej manii i zastrzeli Dennina korzystając ze snu żony. Nadszedł już styczeń, lecz pierwszego szkunera kupieckiego należało spodziewać się dopiero za kilka

miesiący. Mógł wówczas zawiązać do zatoki, ale wcale nie musiał. Ponadto poszukiwacze złota nie zamierzali zimować w chacie i zapasy żywności bliskie były końca. Hans nie uzupełniał ich polowaniem, bo konieczność pilnowania więźnia przykuwała do miejsca obydwójce Nelsonów.

Edyta pojęła, że coś trzeba przedsięwziąć. Z wysiłkiem wielokrotnie rozważała cały problem. Nie potrafiła oczywiście otrząsnąć się z legalizmu swojej rasy, z poczucia praworządności odziedziczonego wraz z krwią i wpajanego od dzieciństwa. Wiedziała, iż wszystko, co uczyni, musi zgadzać się z zasadami prawa. Podczas długich godzin czuwania — gdy ze strzelbą na kolanach siedziała nad rzucającym się niespokojnie mordercą, a za oknem szalała nawałnica — Edyta Nelson prowadziła samodzielne badania socjologiczne i na własny użytek studiowała ewolucję pojęć prawnych. Wreszcie przyszło jej na myśl, że prawo stanowi tylko wyraz przekonania i woli takiej lub innej gromady ludzkiej. Nie ma znaczenia fakt, jak liczna jest gromada. Bywają niewielkie, na przykład Szwajcaria. Bywają też duże, na przykład Stany Zjednoczone. Kobieta rozumowała dalej. Nie ma również znaczenia fakt, że gromada jest mała, bodaj najmniejsza. Kraj może liczyć tylko dziesięć tysięcy ludności, a przecie jej zbiorowe przekonanie i wola decydują o obowiązujących prawach. Czemu zatem tysiąc ludzi nie mogłoby stanowić takiej grupy? Jeżeli zaś wystarczy tysiąc, z jakiej racji nie ma wystarczyć stu, pięćdziesięciu, pięciu?... Dlaczego nie ma wystarczyć DWOJE?

Przestraszona śmiałością swoich wniosków omówiła je z mężem. Z początku nie mógł nic zrozumieć. Wreszcie rozjaśniło mu się w głowie i dorzucił przekonujący argument. Wspomniał o wiecach poszukiwaczy złota, kiedy to wszyscy mężczyźni pracujący w okolicy zbierają się, aby stanowić prawa i wymierzać sprawiedliwość. Hans dowodził, że często bywa ich tylko dziesięciu lub piętnastu, a jednak wola większości obowiązuje całą dziesiątkę lub piętnastkę i każdy, kto sprzeciwi się tej woli, ponosi karę.

Edyta zobaczyła prostą, jasną drogę — nareszcie! Dennina trzeba powiesić. Hans wyraził zgodę. Przecież stanowią absolutną większość? określonej gromady ludzkiej. Zbiorowa wola orzekła, iż morderca ma wisieć. Wprowadzając w czyn tę wolę Edyta chciała za wszelką cenę zachować formy zwyczajowe. Ale gromada ludzka była tak szczupła, że Nelsonowie z konieczności odgrywali rolę świadków, ławy przysięgłych, sędziów, ba! nawet katów.

Edyta formalnie oskarżyła Michaela Dennina o morderstwo Dutchy'ego oraz Harkeya i leżący na pryczy więzień wysłuchał zeznań — najprzód Hansa, później jego żony. Odmówił przyznania się lub nieprzyznania do winy i milczał uparcie, gdy kobieta spytała, czy podsądny ma coś na swą obronę. Z kolei Nelsonowie nie wstając ze stołków wydali werdykt ławy przysięgłych: winien. Wreszcie Edyta jako sędzia ogłosiła wyrok. Głos jej się trząsnął, powieki trzepotały, lewa ręka drgała nerwowo, ale zdobyła się na wysiłek:

— Michaelu Dennin! Zostałeś skazany na śmierć. Za trzy dni będziesz powieszony.

Tak brzmiała sentencja wyroku. Więzień bezwiednie westchnął z ulgą. Później roześmiał się szyderczo i powiedział:

— No, przynajmniej ta piekielna prycza nie będzie mi uciskać gnatów. Zawszeć to jaka taka pociecha.

Po ogłoszeniu wyroku wszyscy mieszkańcy chaty odczuli odprężenie. Zwłaszcza skazaniec. Zniknęła jego pochmurna, zaciekleń wrogość. Spokojnie rozmawiał ze swoimi strażnikami, a od czasu do czasu błyskał nawet dawnym dowcipem. Chętnie też słuchał Biblii. Edyta czytywała mu Nowy Testament, a Dennin najbardziej interesował się synem marnotrawnym i łotrem na krzyżu.

Dnia poprzedzającego wyznaczony termin egzekucji Edyta zadała swe zwyczajne pytanie:

— Czemu to zrobiłeś?

— Bardzo prosta sprawa — odpowiedział Dennin. — Przyszło mi do głowy...

Stanowczym tonem kazała mu milczeć i zaczekać chwilę; pobiegła do pryczy męża. Hans był wolny od służby, toteż budząc się przecierał oczy i mamrotał gniewnie.

— Idź zaraz — rozkazała mu żona — sprowadź Negooka i jakiego drugiego Indianina. Michael chce odbyć spowiedź. Muszą przyjść. Weź strzelbę i przygnaj ich pod groźbą, jeżeli zajdzie potrzeba.

W pół godziny później Negook i jego wuj Hadikwan zostali wprowadzeni do celi śmierci. Przyszli niechętnie. Hans popędzał ich wycelowaną w plecy dubeltówką.

— Negooku — odezwała się Edyta — nie będzie zmartwienia dla ciebie ani twoich ludzi. Nic od was nie chcemy. Usiądźcie tylko, słuchajcie wszystkiego i starajcie się zrozumieć.

W takich warunkach skazany na śmierć Michael Dennin odbywał publiczną spowiedź. Kiedy mówił, Edyta notowała jego słowa, Indianie słuchali, a Hans pilnował drzwi, bo obawiał się, że świadkowie mogą czmychnąć.

Na początek morderca powiedział, że od piętnastu lat nie był w starym kraju, a zawsze miał zamiar wrócić tam z furą pieniędzy, aby swojej starej matce zapewnić dobrobyt do końca życia.

— A jak mógłbym tego dokazać z głupimi szesnastoma setkami dolarów? — zapytał. — Cóż, chciałem mieć wszystko złoto, całe osiem tysięcy. Wtedy wróciłbym z fasonem. Przyszło mi do głowy, że to nic trudnego. Zabiję was wszystkich, w Skaguay zameldują o napadzie Indian i zwięję do Irlandii. Więc wziąłem się do zabijania, ale, jak lubił mówić Harkey, ukrajałem za duży kęs i udławiłem się, nim go zdążyłem przełknąć. Koniec spowiedzi! Spełniłem obowiązek wobec diabła, a teraz, jak Bóg pozwoli, spełnię obowiązek wobec Boga.

— Negooku i Hadikwanie — zwróciła się Edyta do Indian — słyszeliście mowę białego człowieka. Jego słowa są tutaj na papierze.

Musicie zrobić znak, o, taki znak, na tym papierze, aby ci, co przyjdą później, wiedzieli, że słyszeliście wszystko.

Siwasze nakreślili krzyżyki obok swoich imion i Edyta pozwoliła im odejść, wprzód jednak zapowiedziała, by następnego dnia rano wrócili z całym plemieniem, jako świadkowie dalszego rozwoju wydarzeń.

Denninowi na krótko oswobodzono ręce. Musiał przecie podpisać dokument. Później cisza zaległa w izbie. Hans był rozdrażniony, Edyta przygnębiona. Morderca leżał na wznak spoglądając prosto w pułap o szparach utkanych mchem.

— Teraz spełnię obowiązek wobec Boga — mruknął i zwrócił się do Edyty. — Poczytaj mi z książki — poprosił dodając zaraz półzartobliwym tonem. — Pomoże mi to chyba zapomnieć o tej pryczy.

Dzień egzekucji wstał pogodny i zimny. Termometr wskazywał dwadzieścia pięć stopni niżej zera. Dał lodowaty wicher, przenikał odzież i ciało, mroził do szpiku kości. Pierwszy raz od wielu tygodni Dennin stanął na nogach. Mięśnie jego długo nie pracowały, a że odwykł od utrzymywania się w pozycji pionowej, przychodziło mu to z trudem. Chwiał się w tył i do przodu, aż wreszcie poszukał oparcia i skrępowanymi rękami uczeplił się Edyty.

— Zupełnie jakbym był zalany — roześmiał się głucho i zaraz dorzucił. — Lepiej, że to już koniec. Cieszę się. I tak zdechłbym na pewno na tej piekielnej pryczy.

Kiedy Edyta włożyła mu na głowę futrzaną czapkę i zaczęła opuszczać nauszники, skazaniec roześmiał się znowu i zapytał:

— Po co tyle zachodu?

— Na dworze piekielnie zimno — odparła.

— Za dziesięć minut odmrożone ucho nie będzie ważne dla biednego Michaela Dennina — powiedział.

Edyta nastroiła nerwy przed ostatnią, straszliwą próbą, ale proste zdanie mordercy zadało cios jej równowadze. Do tej pory wszystko odbywało się jak w upiornym śnie, lecz naga prawda ostatnich słów wstrząsnęła Edytą, kazała jej szeroko otworzyć oczy na realizm tego, co się dzieje. Irlandczyk nie przegapił jej zmieszania.

— Przykro mi, że cię zaniepokoiło moje głupie gadanie — powiedział zmartwiony. — Nic specjalnego nie miałem na myśli. To wielki dzień dla Michaela Dennina. Wesołym dziś jak szczygieł.

Zaczął gwizdać ochoczo, niebawem jednak zmienił ton na smutniejszy i zupełnie umilkł. — Szkoda, że nie ma księdza — powiedział z żalem, lecz dodał bez namysłu. — No, ale Michael Dennin to stary wyga! W drodze na tamten świat obejdzie się bez ekstra wygód.

Był bardzo słaby i tak odwykł od chodzenia, że tuż za progiem omal go wiatr nie obalił. Edyta i Hans szli po dwóch stronach skazańca i podtrzymywali go silnie, on zaś żartował nieustannie, starał się rozweselić eskortę. Tylko raz nabrał powagi na czas wystarczająco długi, by udzielić wskazówek co do przesłania jego udziału w złocie pod adresem matki zamieszkałej w Irlandii.

Nelsonowie i Dennin wspięli się na niewielki wzgórek i spośród drzew wyszli na polanę. Negook, Hadikwan i wszyscy Siwasze (do niemowląt i psów włącznie) otaczali kręgiem beczkę ustawioną denkiem do góry na śniegu. Byli skupieni, uroczyści. Przyszli, aby przekonać się na własne oczy, jak działa prawo białego człowieka. Opodal widać było grób wypalony przez Hansa w złodowaciałej ziemi.

Dennin spokojnym wzrokiem zbadał i rzeczowo ocenił przygotowania: grób, beczkę, grubość postronka, średnicę konara, do którego stryk był uwiązany.

— Jak Boga kocham, Hans, sam nie urządziłbym tego lepiej, gdyby o ciebie chodziło!

Głośno roześmiał się z własnego dowcipu, ale twarz Hansa zastygła w upiorną, posępną maskę, którą zdołałyby skruszyć chyba tylko trąby na Sąd Ostateczny. Poza tym Hansowi robiło się słabo. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak straszliwym wysiłkiem może być wyprawienie na tamten świat bliźniego. Edyta rozumiała to od dawna, lecz rozumienie wcale nie ułatwiało jej zadania. Dręczyła ją niepewność, czy zdoła utrzymać się w garści, doprowadzić rzecz do końca. Raz po raz kusiło ją coś, żeby zawyć, krzyknąć, żeby rzucić się na śnieg albo zasłoniwszy oczy rękami odwrócić się na pięcie i pomknąć na oślep, uciec do puszczy, dokądkolwiek, byle dalej, dalej. Potężnym wysiłkiem woli panowała nad sobą. Wyprostowana szła naprzód. Robiła to, co musiało być zrobione. Pośród szalonej zawieruchy uczuć była wdzięczna Denninowi za pomoc, której udzielał oprawcom, w miarę możliwości.

— Daj no mi rękę — powiedział do Hansa i korzystając z tej podpory wgramolił się jakoś na beczkę.

Schylił się, żeby Edycie łatwiej było założyć mu pętlę na szyję. Później stanął znów prosto, kiedy Hans uwiązywał postronek do konara nad jego głową.

— Michaelu Dennin! Czy masz coś do powiedzenia? — zapytała Edyta donośnym, lecz rozdygotanym głosem.

Stojący na beczce skazaniec zaczął przestępować z nogi na nogą.

Wstydliwie spuścił oczy, jak żółtodziób, który ma wygłosić pierwszą w życiu mowę. Odchrząknął raz i drugi.

— Lepiej, że to już koniec — powiedział wreszcie. — Obeszliście się ze mną po chrześcijańsku. Z serca wdzięczny jestem za waszą dobroć.

— Oby Bóg przyjął cię jak skruszonego grzesznika — powiedziała Edyta.

— Aha — głęboki bas odpowiedział wysokiemu głosowi kobiety. — Oby Bóg przyjął mnie jak skruszonego grzesznika.

— Żegnaj, Michaelu! — krzyknęła rozdzierająco, żałośnie. Ciężarem całego ciała runęła na beczkę, lecz beczka stała.

— Hans! — zawołał omdlewającym tonem. — Hans! Ratunku! Prędzej!

Czuła, że brak jej sił, a beczka nie ustępuje. Nelson skoczył na pomoc, wytrącił podporę spod nóg Michaela Dennina.

Kobieta odwróciła się, uszy zatkała palcami. Potem wybuchnęła śmiechem — ostrym, przeraźliwym, metalicznym śmiechem. Hans przeraził się tak, jak ani razu podczas długotrwałej tragedii. Nadeszło ostateczne załamanie Edyty Nelson. Mimo ataku hysterii zdawała sobie z tego sprawę i była szczęśliwa, że wytrzymała pod brzemieniem do ostatka. Zatoczyła się w stronę męża.

— Hans, weź mnie do chaty — zdołała wyjąkać.

— I pozwól mi odpocząć — dodała. — Ach, spać, spać, spać!... Odeszła po śniegu. Mąż otaczał ją ramieniem, podtrzymywał z całej mocy, kierował chwiejnymi krokami. Ale Indianie pozostali. W skupieniu patrzyli, jak działa osobliwe prawo białych, które każe człowiekowi wykonywać dziwaczny taniec w powietrzu.

Przygotowano na podstawie bookini.pl